

Cień i błysk

Jack London



calibre 0.9.27

CIEN I BŁYSK

Jack London

Dzisiaj, patrząc wstecz, zdaję sobie sprawę, jak niebezpieczna to była przyjaźń. Lloyd Inwood, wysoki, smukły, o wykwitnie rzeźbionej twarzy, nerwowy i ciemny. Zaś Paul Tichlorne równie wysoki, smukły, ładny, nerwowy - i jasny. Jeden był odbiciem drugiego w wszystkim, prócz kolorytu. Lloyd miał oczy czarne, Paul niebieskie. W chwili podniecenia twarz bruneta barwiła się śniadożółtawym rumieńcem, twarz blondyna — różowym. Lecz poza kwestią kolorytu — identyczni byli niby dwa ziarenka grochu. Obaj posiadali wybitną inteligencję, wielki temperament, zawziętość życiową, ogromną wytrwałość w czynach i zdolność skupiania wszystkich sił dla osiągnięcia zamierzonego celu.

W więzy owej wyjątkowej przyjaźni zaplątał się również ktoś trzeci: krótki, gruby, krępy i leniwy. Niestety, tym trzecim byłem ja. Paul i Lloyd zdawali się być stworzeni do ciągłej rywalizacji, ja zaś do występowania zawsze z różdżką oliwną pokoju. Wszyscy trzej wzrastaliśmy razem i nieraz na moje plecy spadały ciosy, które jeden z przyjaciół przeznaczał dla drugiego. Tamci dwaj nieustannie współzawodniczyli, ciągle walczyli o pierwszeństwo i w walce tej nie znali granic pragnień ani namiętności.

Ów zawzięty duch rywalizacji panował zarówno w naukach, jak w zabawach. Jeśli Paul pamiętał dwie strofki jakiegoś słynnego poematu, Lloyd zjawiał się natychmiast z trzema, po czym Paul uczył się czterech, aż wreszcie obaj umieli całość. Pamiętam pewien incydent, który miał miejsce podczas pływania - incydent tragicznie znamieny dla walki całego ich życia. Chłopcy zabawiali się wesoło: nurkowali na dno jeziora dziesięciostopowej głębokości i chwyтали za korzenie wodorostów, zakładając się, kto dłużej wytrzyma pod wodą. Paul i Lloyd uparli się, że dadzą nurka razem. Kiedym ujrzał ich twarze, zacięte i zdecydowane, znikające szybko pod wodą - poczułem, że stanie się coś strasznego. Chwile mijały, fale uspokoiły się na wodzie, jezioro leżało gładkie i niezmacone, lecz ani czarna, ani jasna głowa nie wychylały się, żeby zaczerpnąć powietrza. My wszyscy, stojący na brzegu, zaczęliśmy się niepokoić. Najdłuższy rekord najwytrzymalszego chłopca został dawno pobity - lecz spod wody nie dochodził żaden ślad życia. Pęcherzyki powietrza bulgotały miarowo, wydostając się na powierzchnię i dawały znać, że płuca nurków procują jeszcze. Po chwili ustały nawet sygnały pęcherzyków. Każda sekunda stała się nieznośnie długa. Nie mogłem dłużej wytrzymać napięcia. Sam dałem nurka.

Znalazłem obu chłopców na dnie, wczepionych kurczowo w wodorosty. Głowy trzymali w odległości kilku cali jedna od drugiej, oczy mieli szeroko rozwarte i wpatrzone przenikliwie w oczy przeciwnika. Cierpieli nieznośnie, wijąc się w męce dobrowolnego duszenia, żaden jednak nie chciał wypłynąć pierwszy i uznać się za pobitego. Spróbowałem oderwać rękę Paula od wodorostów, ale opierał się rozpaczliwie. Poczułem, że się duszę i wypłynąłem na powierzchnię, mocno podrapany. Szybko wytłumaczyłem kolegom, o co chodzi. Sześciu nas dało nurka i wreszcie przemocą wyciągnęliśmy zajadłych przeciwników. Byli już jednak nieprzytomni i dopiero po długim stosowaniu sztucznego oddychania, bicia i kołysania udało nam się przywołać ich do życia. Byliby

utonęli, gdyby nikt nie przybył na pomoc.

Kiedy Paul Tichlorne wstąpił na uniwersytet, mówiono ogólnie, że ma zamiar studiować nauki społeczne. Lloyd Inwood, zapisując się jednocześnie, wybrał tenże fakultet. Paul jednakże w tajemnicy przed wszystkimi nosił się z zamiarem studiowania nauk przyrodniczych, zwłaszcza zaś chemii. Toteż w ostatniej chwili przerzucił się niespodziewanie. Wobec tego Lloyd, chociaż już zorganizował sobie plan nauk i zaczął uczęszczać na wykłady - nagie poszedł w ślad za Pauliem i zapisał się na przyrodę, ze szczególnym uwzględnieniem chemii. Rywalizację dwóch nowo przybyłych zauważyli wkrótce wszyscy koledzy. Jeden stanowił ostrogę dla drugiego. Zapuścili się w tajniki chemii głębiej niż którykolwiek z kolegów, tak głęboko, że zanim doczekali się tradycyjnej uroczystości „skoku przez skórę”, zagnać już mogli w kozi róg niejednego z dawnych chemików, nie wyjąwszy znanego wśród kolegów specjalisty, „starego” Mossa. Wreszcie prace Lloyd'a nad „bakteriami śmierci” znajdującymi się w ciele żaby morskiej oraz doświadczenia robione nad tymi bakteriami przy pomocy cyjanku potasu, przyniosły sławę zarówno badaczowi, jak całej uczelni. Paul jednak nie pozostał ani o krok w tyle, zdołał bowiem wyprodukować laboratoryjnie pewne koloidy, wydzielane dotychczas jedynie przez ameby. Poza tym, otworzył nowe możliwości produkowania nawozów sztucznych, przez swe znakomite doświadczenia z wpływem roztworów chloranów sodu i magnezu na najniższe formy fauny morskiej.

W czasie najgłębszego pogrążenia się w chemii, w okresie walki o stopień naukowy — w życie obu kolegów weszła nagle panna Doris Van Benschoten. Lloyd spotkał ją pierwszy, ale w przeciągu dwudziestu czterech godzin Paul postarał się również o zawarcie tej znajomości. Rzecz prosta, zakochali się od razu i panna Doris stała się jedyną treścią życia, jedynym celem, dla którego warto żyć. Otaczali ją swym uwielbieniem z jednaką namiętnością i oddaniem, i tak intensywna stała się ich walka o tę kobietę, że cały uniwersytet zainteresował się jej przebiegiem i czynił nawet zakłady. Nawet „stary” Moss po jakimś wspaniałym pokazie naukowym w prywatnej pracowni Paula założył się o całomiesięczny zarobek, że prędzej czy później zostanie z ramienia Paula drużbą panny Doris Van Benschoten.

Wreszcie panna rozstrzygnęła zagadnienie po swojemu, ku zadowoleniu wszystkich, prócz Paula i Lloyd'a. Zawezwała ich obu razem i oświadczyła, że wybrać pomiędzy nimi nie może, bo obaj są jej równie mili, ponieważ zaś, niestety, wielomęstwo nie jest w Stanach Zjednoczonych dozwolone, przeto zmuszona jest wyrzec się zaszczytu i szczęścia poślubienia jednego z nich.

Odtąd jeden oskarżał drugiego o swe niepowodzenie, wobec czego gorę, dzieląca ich, zgorzkniała jeszcze mocniej.

Sprawy szły szybko do kulminacyjnego punktu. Obaj młodzieńcy posiadali już stopnie naukowe i z murów uczelni wyszli w świat.

W moim to właśnie domu zaczął się dnia pewnego początek końca. Obaj rywale byli ludźmi zamożnymi i nie mieli ani ochoty, ani konieczności pracy zarobkowej. Przyjaźń ze mną a zarazem wzajemna animozja wiązały ich jednak w pewien węzeł nierozzerwalny.

Obaj odwiedzali mnie często, starali się jednak nie spotykać. Pomimo to spotkanie było prędzej czy później nieuniknione.

Pewnego dnia podczas mego urlopu Paul Tichlorne przesiedział cały dzień w moim gabinecie, wertując jakiś tygodnik naukowy. Czułem się zwolniony od bawienia gościa i w ogródku zająłem się ulubionymi różami, gdy nagle zawitał Lloyd Inwood. Przybijałem właśnie pnące gałązki do ścian domu. Stałem na drabince, usta mając pełne gwoździ i młoteczek w ręku. Lloyd stał przy mnie i coraz to w czymś dopomagał. W tej sytuacji zawiązała się pomiędzy nami rozmowa na temat mitów o ludziach niewidzialnych, dziwacznych, wędrownych zjawach, o których podania i przesady

przechowały się aż po dzień dzisiejszy. Lloyd zapalił się do tematu po swojemu, nerwowo a porywczo i po chwili przerzucił do rozważania fizycznych możliwości takiego zjawiska jak niewidzialność. Przedmiot idealnie czarny - twierdził - powinien teoretycznie oprzeć się najostrzejszemu nawet wzrokowi ludzkiemu.

— Barwa jest wrażeniem — mówił — nie jest rzeczywistością obiektywną. Bez światła nie możemy widzieć ani barw, ani samych przedmiotów. Wszystkie przedmioty są w ciemności czarne i wtedy ich nie dostrzegamy. Jeśli nie padnie na nie żaden promień światła — żaden też nie zostanie odbity od nich ku oczom ludzkim i nie osiągniemy wtedy żadnego wrażenia wzrokowego.

— Ale przy świetle dziennym czarne przedmioty widzimy — odparłem.

— Bardzo słusznie — zapalał się Lloyd — ale dlatego tylko, że nie są idealnie czarne. Gdyby były idealnie, najidealniej czarne, nie moglibyśmy ich dostrzec nawet przy świetle! Toteż, powiadam, przy pomocy odpowiednich barwników, właściwie zastosowanych, można by osiągnąć idealną czerń, która czyniłaby niewidzialnym każdy przedmiot nią pomalowany.

— Byłoby to nadzwyczajne odkrycie - odrzekłem dość sceptycznym tonem, cały bowiem pomysł wydał mi się tak fantastyczny, że wart był jedynie teoretycznych rozważań.

- Nadzwyczajne! - Lloyd trzepnął mnie po ramieniu. - No myślę! Cóż, mój stary, jeśli okryję się takim czarnym płaszczykiem — cały świat mam u stóp! Moje stają się tajemnice królów i dworów, zamysły polityków i dyplomatów, machinacje giełdźiarzy, plany przemysłowców. Mógłbym trzymać rękę na tajnym pulsie wszystkich spraw i stać się największą potęgą świata. Mógłbym też - tu urwał nagle, po czym dodał spokojniej: Rozpocząłem już doświadczenia na ten temat i nie mogę się skarżyć, żeby szły mi kiepsko.

Nagle tuż przy nas zabrzmiał głośny śmiech. W drzwiach stał Paul Tichlorne, uśmiechając się drwiąco.

— Zapominasz, kochany Lloydzie... - zaczął.

— O czymże to zapominam?

— Zapominasz — ciągnął Paul - ach, po prostu o takim drobiazgu jak... cień.

Twarz Lloyd'a pociemniała, ale odparł sucho: - Mogę nosić parasol, mój złoty. — Potem nagle z dziką wściekłością rzucił się ku rywalowi. - Posłuchaj! Masz się trzymać z daleka od tego interesu — zrozumiane? - Jeśli ci życie miłe!

Awantura zdawała się być nieunikniona, Paul jednak roześmiał się dobrodusznie. - Nie mam zamiaru dotykać nawet jednym palcem twoich brudnych barwników. Gdybyś nawet osiągnął szczyt swoich marzeń, potkniesz się zawsze i przewrócisz - o cień. Od cienia nie uciekniesz, bratku. Co do mnie, to wybieram się po wręcz przeciwnej ścieżce. W samym założeniu mego pomysłu cień jest wykluczony.

— Przezroczyści — wykrzyknął nagle Lloyd. — Ależ to jest nieosiągalne.

— Tak, ma się rozumieć, zupełnie nieosiągalne. Paul wzruszył ramionami i oddalać się począł z wolną różaną alejką ogrodu.

To był początek. Obaj zaatakowali odtąd swoje zagadnienia z całą burzą namiętności, do jakiej byli zdolni, i z goryczą zawiści i gniewu. Drżałem teraz o nich obu. Każdy wtajemniczał mnie w swoje prace i podczas długich miesięcy badań spełniać musiałem obowiązki powiernika stron obu, asystując przy doświadczeniach i słuchając teoretycznych wywodów. Nigdy, rzecz prosta, ani słowem nie zdradziłem przed jednym postępów drugiego, toteż obaj szanowali mnie za lojalność i umiejętność milczenia.

Lloyd Inwood wobec uciążliwej i wyczerpującej pracy, nie mogąc znieść ciągłego napięcia wszystkich władz umysłowych - znalazł sobie na odpoczynek rozrywkę dość dziwaczną: począł

uczęszczać na walki atletów. Na jednym z owych brutalnych widowisk, na które zaciągnął mnie, żeby podzielić się zdobyczami ostatnich doświadczeń — teoria jego otrzymała niespodziewaną a dosadną ilustrację.

— Czy widzisz tego rudobrodego jegomościa - zapytał Lloyd, wskazując poprzez arenę na piąty rząd krzesel po drugiej stronie. - Powiedz mi też, czy widzisz tego drugiego pana, w białym kapeluszu? Cóż, pomiędzy nimi jest jedno puste miejsce, prawda?

— Tak, nie siedzą obok siebie - odrzekłem. Krzesło pomiędzy nimi jest nie zajęte.

Lloyd przechylił się ku mnie i wyrzekł z naciskiem:

— Nie. Pomiedzy rudobrodym a panem w kapeluszu siedzi Ben Wasson. Mówiłem ci kiedyś o nim. Jest najlepszym atletą średniej wagi w całym kraju. Jest też Murzynem czystej krwi, najczarniejszym z popularnych Murzynów Stanów Zjednoczonych. Ma na sobie czarny płaszcz zapięty pod szyję. Widziałem, jak wchodził i zajmował to miejsce. Jak tylko usiadł - miałem wrażenie, że zniknął. Patrz uważnie, *może się uśmiechnie*.

Miałem ochotę przejść się ku tamtym rzędom, żeby sprawdzić słowa Lloyda, ale mnie powstrzymał. - Poczekaj — prosił.

Czekałem więc i patrzyłem. Po pewnej chwili rudobrody jegomość zwrócił się ku pozornie nie zajętemu krzesłu i zaczął coś mówić; wtedy, w owej pustej przestrzeni dostrzegłem powolny obrót dwóch krągłych białek ocznych i dwa białe rzędy zębów. Wtedy przez krótką chwilę zobaczyłem całą twarz, a może tylko zdawało mi się, że widzę. Lecz gdy uśmiech zniknął, twarz stała się znowu niewidzialna i fotel wydał się pusty.

— Gdyby Ben Wasson był idealnie czarny, mógłbyś siedzieć obok i nie widzieć go — powiedział Lloyd. Wyznaję, że dzięki temu przykładowi zostałem nieomal przekonany o słuszności założenia mego przyjaciela. Od tego czasu odwiedzałem często laboratorium Lloyda i znajdowałem go zawsze pogrążonego w poszukiwaniach owej wymarzonej absolutnej czerni. Doświadczenia Jego polegały na wytwarzaniu całej gamy czarnych barwników: zwęglonych substancji zwierzęcych lub roślinnych, dziegciów, tłuszczów, smarów i kopciów.

— Białe światło - mówił - składa się z siedmiu kolorów zasadniczych. Lecz samo w sobie jako takie jest niewidzialna. Dopiero odbite od przedmiotów staje się widzialne - zarówno jak i te przedmioty. Widzialną jednak staje się tylko ta jego część, która została odbita od przedmiotu. Oto na przykład niebieskie pudełko od tytoniu. Białe światło pada nań i wszystkie jego składniki — oprócz jednego - zostają zabsorbowane. Są nimi: fioletowy, Indygo, zielony, żółty, pomarańczowy i czerwony. Tym jednym składnikiem odbitym jest niebieski. Nie zostaje on pochłonięty, lecz zostaje odbity. Dlatego też pudełko do tytoniu daje nam wrażenie barwy niebieskiej. Innych barw nie widzimy, bo zostały zabsorbowane. Widzimy tylko niebies-ką. Dla tej samej przyczyny trawa wydaje nam się zielona. Zielone fale białego światła rzucone zostają ku naszym oczom.

— Jeśli malujemy sobie domek — mówił Innym razem — bynajmniej nie używamy do malowania kolorów. Używamy po prostu pewnych substancji, które mają własność absorbowania z białego światła wszystkich barw, prócz tej, która; posiadać ma nasz dom. Jeżeli substancja odbija wszystkie barwy, wydaje nam się biała. Jeżeli wszystkie absorbuje, jest czarna. Lecz, jakem rzekł, nie posiadamy dotychczas czerni absolutnej. Wszystkie fale nie zostają pochłonięte. Idealna czerń, byle ubezpieczona od bardzo wysokich oświetleń, będzie zupełnie i absolutnie niewidzialna. Spójrz na przykład tutaj:

Wskazał paletę leżącą na stole. Barwiły ją rozmaite odcienie czerni. Jedną w szczególności dostrzec było trudno. Miałem wrażenie, że ćmi mi się w oczach, przetarłem powieki i patrzyłem znowu.

— Oto właśnie — mówił z przejęciem chemik — jest najczarniejsza czerń, jaką oglądałeś kiedykolwiek i jaką w ogóle oko ludzkie widziało. Poczekaj — wkrótce wytworzę taką na jaką oko ludzkie spoglądać nie będzie mogło, a przez to samo nie będzie mogło jej widzieć!

Tymczasem Paul Tichlorne pogrążony był równie głęboko w studia nad polaryzacją i rozproszeniem światła, nad interferencją i skupianiem promieni oraz nad pewnymi właściwościami całego szeregu związków organicznych.

- Przezroczystość jest stanem lub też własnością ciała, która pozwala na przechodzenie przezeń wszystkich promieni światła - tłumaczył. - Tego właśnie poszukuję. Lloyd potknie się zawsze o cień w swoich badaniach nad idealną absorpcją. Ja tego uniknę. Ciało przezroczyste nie rzuca cienia wcale. Nie odbija też fal świetlnych, jeśli istotnie jest idealnie przezroczyste. Toteż, z wyjątkiem bardzo mocnych oświeśleń, ciało takie nie tylko nie rzuci cienia, ale, nie odbijając promieni, stanie się niewidzialne.

Któregoś dnia staliśmy przy oknie. Paul zajęty był polerowaniem mnóstwa szkiełek ustawionych na podstawce. Nagle w czasie przerwy w rozmowie zawołał: — O, rzuciłem niechcący szkiełko! Wyrzyj no przez okno, mój stary, czy nie zobaczysz, gdzie upadło!

Czym prędzej wysunąłem głowę przez otwarte okno i nagle oszołomił mnie mocny cios. Tarłem więc czoło i spoglądałem ze zdziwieniem i wyrzutem na Paula, który zaśmiewał się, jak sztubak po splątaniu figla.

- A więc? - powiedział.

- A więc? - powtórzyłem jak echo.

- Dlaczego nie zbadałeś terenu?

Wobec tego rozpocząłem badania. Zanim wytknąłem głowę, zmysły moje, działając automatycznie, stwierdziły, że żadna przeszkoda nie istnieje, że nic nie dzieli mojej głowy od zewnętrznego świata, gdyż rama otworzonego okna jest najzupełniej pusta. Teraz jednak wyciągnąłem rękę i poczułem twardy przedmiot, gładki, zimny i płaski; doświadczenie mego dotyku rozpoznało szkło. Spojrzałem znowu, lecz absolutnie nic nie mogłem dostrzec.

—Biały piasek kwarcowy — śmiał się Paul — węglan sodu, nadtlenek manganu i wapno gaszone - oto masz najlepsze szkiełko francuskie z huty St. Gobain wytwarzającej najpiękniejsze na świecie tafle szklane. Pochlebiam zaś sobie, że to jest właśnie najpiękniejsza tafla. Kosztuje bająnskie sumy. Ale spójrz na nią! Nie sposób jej dostrzec. Nie wiesz nic o jej istnieniu, dopóki jej nie dotkniesz.

—Tak, mój stary! Oto masz lekcję pogładową. Pewne składniki same przez się nieprzezroczyste, w zestawieniu posiadają jednak własność wytwarzania ciał przezroczystych. To dziedzina chemii nieorganicznej — powiesz. Bardzo słusznie. Ośmielam się jednak twierdzić, że na terenie chemii organicznej osiągnąć można pod tym względem stokroć lepsze rezultaty.

— Patrz! — podsunął mi pod oczy probówkę napełnioną jakimś mętnym płynem. Dolał doń zawartość drugiej probówki. Pierwszy płyn stał się natychmiast przezroczysty i iskrzący.

— Albo to! - Kilkoma szybkimi, nerwowymi ruchami pośród baterii probówek zmienił barwę białego płynu na kolor wina, jasnożółty zaś roztwór na ciemnobrunatny. Po czym papierek lakmusowy zanurzył do kwasu, barwiąc go na czerwono, i zaraz potem rzucił do zasady - barwiąc na niebiesko.

— A przecież papierek lakmusowy pozostał lakmusowym papierkiem — oświadczył mi tonem wykładowcy. — Nie zmieniłem go na nic innego. Cóż więc uczyniłem? Zmieniłem układ jego cząsteczek. Najpierw były one ułożone w ten sposób, że posiadały własność pochłaniania wszystkich promieni prócz czerwonych. Później zaś cząsteczki znalazły się w takim układzie, że absorbowały wszystkie promienie prócz niebieskich. I tak w nieskończoność. Otóż zamiary moje są następujące: tu

przerwał na chwilę. — Zamierzam szukać i znaleźć odpowiednie czynniki, które działając na organizmy żywe powodowałyby w nich podobną zmianę układu cząsteczek jak ta, którą widzieliśmy przed chwilą. Czynniki te jednak, których poszukuję i na których tropie już właściwie jestem, nie będą nadawały organizmowi żywemu barwy czerwonej, niebieskiej lub czarnej. Nie! One mu nadadzą - przezroczystość. Nadadzą mu właściwość przepuszczania wszystkich promieni. Wtedy ciało stanie się niewidzialne. I — nie rzuci cienia.

W kilka tygodni potem wybrałem się z Paulem na polowanie, obiecał mi bowiem, że będę polował z cudownym psem: „najbardziej cudownym psem, z jakim kiedykolwiek polował człowiek”. Tak długo mnie o tym upewniał, aż wzbudził moją ciekawość. Danego ranka czułem się jednak mocno zawiedziony, ponieważ wyruszyliśmy bez psa.

— Musiał gdzieś odbiec, jakoś go nie widać - zauważył niepewnie Paul i ruszyliśmy w pole.

Nie wiem sam, co mi dolegało, czułem się jednak bardzo źle, dziwnie i nieznośnie źle. Nerwy miałem rozstrojone i rozstrój ten przenosił się teraz na zmysły. Zmysły bowiem zaczęły mi płatać nader nieprzyjemne figle. Słyszałem dziwne dźwięki, to szelest traw, to jakby człapanie nóg po ścieżce.

- Czy ty nic nie słyszysz, Paul? — zapytałem wreszcie. Zaprzeczył ruchem głowy i uparcie szedł naprzód. Podczas przechodzenia przez jakiś płot usłyszałem wyraźnie pisk psa w odległości kilku kroków ode mnie. Obejrzałem się, lecz nie dostrzegłem nic.

Usiadłem na ziemi, drżąc ze zdenerwowania.

— Słuchaj no, Paul, wróćmy lepiej do domu — wyrzekłem. - Mam wrażenie, że jestem poważnie chory.

— Nonsens, stary — odparł. — To pewnie słońce przepaliło ci głowę. *Zaraz przejdzie.* Pogoda jest tak piękna.

Lecz na wąskiej ścieżce między krzakami bawełny jakiś twardy przedmiot uderzył mnie nagle w nogi. Potknąłem się i omal nie upadłem. Z nagłym niepokojem spojrzałem na Paula.

— O co chodzi? — zapytał. — Potknąłeś się o własną nogę co? - Wobec tego wolałem już trzymać język za zębami. Wlokłem się cierpliwie, chociaż byłem już najzupełniej pewny, że jakaś tajemnicza a dotkliwa choroba zaatakowało moje nerwy. Dotychczas ocalały jeszcze oczy. Kiedy jednak wyszliśmy znowu na otwartą przestrzeń, nawet zmysł wzroku zwrócił się przeciwko mnie. Dziwne błyski różnokolorowego, tęczowego światła zaczęły pojawiać się i znikać przede mną na ścieżce. Wciąż jeszcze starałem się panować nad sobą. Kiedy jednak tęczowe błyski pojawiły się na dobre, dwadzieścia sekund nieustannie tańcząc rrr! przed oczyma, usiadłem, osłabiony ! wstrząśnięty - *Coś kiepsko ze mną* — mruknąłem, zasłaniając oczy rękoma. — Już mi padło na wzrok. Paul, odprowadź mnie do domu.

Na *to* Paul roześmiał się głośno i szczerze. — A co, nie mówiłem? Najbardziej cudowny spośród psów? Może nie? Jak uważasz?

Odwrócił się i zagwizdał. Posłyszałem człapanie, przyspieszony oddech zziąjanego zwierzęcia ! niewątpliwie psie naszczekiwanie. Wtedy Paul nachylił się i przemówił do... najwyraźniej do powietrza.

— No, daj łapę!

Po czym położył moją rękę na zimny psi nos i na gładką psią mordę. Tak, był to niewątpliwie pies, o krótkiej i miękkiej sierści pointera.

Bądź co bądź zmysły moje ozdrowiały natychmiast. Paul włożył obrożę na szyję wyżła i przywiązał mu chustkę do ogona. Wtedy to dane nam było ujrzeć wspaniałe widowisko. Pusta obroża sunęła ponad polem, zaś tuż za nią powiewała biała chusteczka. Kapitalnie wyglądało, jak owa

chustka „robiła stójkę” przed kępą krzaków i pozostawała nieruchoma i napięta, dopóki nie strzeliliśmy do ptaka.

Wokoło psa unosiły się nieustanne nikłe tęczne błyski, o których już wspomniałem. Jest to jedyne objaw - tłumaczył mi Paul - którego nie przewidział w założeniu i który prawdopodobnie nie da się w praktyce przewyciężyć.

— To cała wielka rodzina — mówił — tęcze, złudne słońca, aureole, zorze i parheliony. Tworzą się przez rozszczepienie światła przy odbiciu od kryształków lodu, od minerałów, od mgły, deszczu, piany i wielu innych ciał. Obawiam się, że to jest właśnie haracz, który zapłacić muszę za przezroczystość. Uniknąłem cienia — potknąłem się o błysk.

W kilka dni potem, wchodząc do pracowni Paula, poczułem odrażającą woń. Była tak silna, że bez trudu odnalazłem jej źródło: masę gnijącej materii organicznej, leżącej u progu i w ogólnych zarysach przypominającej ciało psa.

Paul ze zdumieniem badał odkryty przeze mnie przedmiot. Był to jego niewidzialny pies, a raczej pies ongiś niewidzialny, obecnie bowiem rozkładającą się masę widać było doskonale. Podobno przed półgodziną biegał i bawił się, zdrowy i wesoły. Bliższa obserwacja wykazała, że czaszka przy skroni zdruzgotana została jakimś mocnym ciosem. Sam fakt nagłej śmierci psa był dostatecznie dziwny, lecz jeszcze bardziej niepojęty był natychmiastowy rozkład ciała.

— Czynniki, które mu zastrzykiwałem, były zupełnie nie szkodliwe - tłumaczył Paul. - Musiały być jednak potężne w działaniu i, jak się teraz okazuje, posiadały własność powodowania natychmiastowego rozkładu organizmu w razie jego śmierci. Zdumiewające! Ciekawe! Cóż - pozostaje tylko: strzec się śmierci. Przezroczystość nie szkodzi ciału żywemu. Nie rozumiem tylko, kto rozbił psu głowę?!

Pytanie nie pozostało bez odpowiedzi, gdyż wkrótce służąca przybiegła z nowiną, że łowczy Gaffer Bedshaw dostał napadu ostrego szaleństwa, dziś właśnie, godzinę temu. Powalono go i związano natychmiast w jego izdebce, gdzie leży teraz i bredzi o walce z jakimś strasznym potworem napotkanym na łąkach pana Tichlorne'a. Wariat przysięga, że potwór był niewidzialny. Żona i córka oblewają łzami biedaka, ale on zaczyna się jeszcze bardziej i twierdzi, że na własne oczy widział, iż potwór był niewidzialny. Wobec tego furman i ogrodnik związali go jeszcze mocniej.

Podczas gdy Paul Tichlorne z takim powodzeniem opanowywał problemat niewidzialności, Lloyd Inwood pozostał nieco w tyle. Zaprosił mnie listownie, żebym obejrzał postępy jego prac, poszedłem więc niezwłocznie. Domek, w którym mieściła się pracownia, stał samotnie na obszernych terenach majątku, na ślicznej małej polance, pośród młodego gajku. Szło się tam wijącą i dość błędną dróżką. Ja jednak przemierzałem tę ścieżkę tyle razy, że znałem każdy jej cal. Jakież więc było moje zdumienie, kiedy wyszedłszy na polankę nie zastałem domku! Estetyczny budynek, uwieńczony czerwonym kominem — przestał istnieć! A raczej polanka wyglądała tak, jakby nie istniał był nigdy. Żadnych ruin, żadnych gruzów - nic.

Poszedłem tak, jakbym szedł wzdłuż boku domku. — „O - rzekłem sam do siebie — tutaj powinny być schodki i drzwi”. Zanim zdążyłem to wymówić, potknąłem się o jakąś przeszkodę, pochyliłem się gwałtownie naprzód i uderzyłem głową o coś twardego, co odczułem właśnie jako drzwi. Wyciągnąłem rękę. Tak, to istotnie były drzwi. Znalazłem klamkę, nacisnąłem. I jak tylko drzwi skrzypnęły lekko na zawiasach - całe wnętrze pracowni narzuciło się moim oczom. Przywitawszy Lloyd'a, raz jeszcze wyszedłem na ścieżkę, zamykając za sobą drzwi. I znowu budynek zniknął mi z oczu. Z chwilą gdy znowu otworzyłem drzwi — całe wnętrze stało przede mną widzialne i zwykłe.

Głęboko zdumiewające były nagłe przejścia od pustki do barwy i kształtu.

- Cóż powiesz na to, he? - zagadnął Lloyd, ściskając moją rękę. - Onegdaj pociągnąłem ściany paroma warstwami absolutnej czerni, żeby się przekonać, jak wygląda. No, jakże twoja głowa? Musiałeś się dobrze trzepnąć, wyobrażam sobie.

- To drobiazg — przerwał tok moich powinszowań. - Mam dla ciebie coś lepszego do roboty.

To mówiąc, zaczął się rozbierać, kiedy zaś stanął przede mną zupełnie nogi, wcisnął mi w rękę spory garnczek i miękką szczotkę.

- Dalej, smaruj mnie tymi — zawołał.

Był to oleisty płyn podobny do szelaku, który rozsmarowywał się po skórze szybko i łatwo, zasychając natychmiast.

- To dopiero wstępne „zagruntowanie”, tak dla ostrożności - wyjaśnił, kiedy skończyłem. - A teraz weźmy się do tego preparatu, o który właśnie chodzi.

Wziąłem drugi garnczek, który mi wskazał, zajrzałem do środka, ale nie dostrzegłem nic.

- To naczynie jest puste - powiedziałem.

- Włóż palec do środka.

Uśluhałem i doznałem wrażenia chłodnej wilgoci. Wyciągnąłem palec. Spojrzałem nań: znikł. Poruszyłem nim i czułem ruch skurczu i rozkurcza własnych mięśni, lecz żadne wrażenie wzrokowe nie odpowiadało temu odczuciu. Wedle wszelkiej oczywistości pozbawiony zostałem palca. Wtedy dopiero stwierdziłem naocznie jego istnienie, kiedy wyciągnąłem go pod słońce i ujrzałem na podłodze pełny, zwykły cień palca.

Lloyd zachichotał.

—No, teraz smaruj i przypatruj się uważnie temu, co zajdzie. Zanurzyłem szczotkę do pustego na pozór naczynia i szeroką smugą przejechałem Lloydowi wzdłuż piersi. W ślad za ruchem szczotki żywe ciało zniknęło przed oczu. Pokryłem płynem prawą nogę mego przyjaciela — i oto stał już tylko na lewej, przecząc wszelkim prawom grawitacji. Tak, smugę po smudze, członek po członku przemalowałem Lloyd Inwooda w nieistnienie, w nicość. Było to nader rozwlekłe doświadczenie, toteż czułem się zadowolony, kiedy nic już nie pozostało prócz ognistych czarnych oczu, zawieszonych w przestrzeni i o nic jak gdyby nie wspartych,

— Dla oczu mam łagodniejszy, oczyszczony roztwór - powiedział Lloyd - jedno dotknięcie małej szczoteczki i koniec — nie ma mnie!

Po urzeczywistnieniu powyższego dodał: - No, teraz będę się poruszał, a ty mi mów, jakich doznajesz wrażeń!

— Przede wszystkim: nie widzę cię zupełnie — oświadczyłem, na co odpowiedział mi śmiech triumfalny spośród pustki. — Rzecz prosta, cienia nie uniknąłeś - mówiłem dalej - ale to było przewidziane. Kiedy stajesz pomiędzy mną a jakimś przedmiotem, przedmiot ten znika; znikanie to jest jednak tak niezwykle i niezrozumiałe, że wydaje się, jak gdyby oczy odmówiły nagle posłuszeństwa. Kiedy poruszasz się szybko, dziwność tego wrażenia wzrokowego wzrasta. Aż oczy bolą od tego i mózg się męczy.

— Czy odczuwasz inne jeszcze jakieś wrażenia mojej obecności?

— I tak, i nie - odparłem. - Kiedy podchodzisz bardzo blisko, czuję to, co czuje się w pobliżu wilgotnej piwnicy, mrocznej krypty lub głębokiej kopalni. Tak, jak żeglarze czują majak lądu w najciemniejszą nawet noc, tak zdaje mi się, że czuję majak twego ciała. Ale bardzo to jest mgliste i nieuchwytnie.

Na drugi dzień rano gawędziliśmy długo w laboratorium, kiedy zaś miałem odejść, Lloyd uściskał mi rękę swoją ręką niewidzialną i wyrzekł z pustki: „Teraz zwyciężę świat!” Nie ośmieliłem się powiedzieć mu o równym powodzeniu prac Paula Tichlorne'a.

W domu znalazłem kartkę od Paula. Prosił, żebym przybył do niego niezwłocznie. Było już południe. Siadłem na rower i pojechałem. Głos Paula wołał mnie z placu tenisowego, więc zsiadłem z roweru i pobiegłem na plac. Ale plac był pusty. Kiedym tak stał, rozglądając się wokoło, piłka tenisowa palnęła mnie w ramię. Odwróciłem się szybko. Druga gwizdnęła koło ucha. Niewidzialny przeciwnik bombardował mnie nimi z przestrzeni. Kiedy jednak te same piłki powracać zaczęły po kilka razy - zrozumiałem sytuację. Chwyciłem raketę i uważnie wpatrzyłem się w przestrzeń. Tu i tam migały tęczne błyski, ukazując się i znikając. Celowałem ku nim i kiedym w nie cisnął dobre pół tuzina mocnych piłek - głos Paula huknął z przestrzeni.

- Dosyć! Dosyć! O! Och! Przestań! Walisz mnie, uważasz, po nagiej skórze! O! O! Wystarczy, bracie! Chciałem tylko, żebyś podziwiał moją metamorfozę - syczał przez zęby i pewien byłem, że rozciera potłuczone miejsca.

W parę minut potem zaczęliśmy grać w tenisa. Byłem w trudniejszej sytuacji, nie miałem bowiem pojęcia o każdorazowym położeniu przeciwnika, prócz tych chwil, kiedy tworzyły się odpowiednie kąty pomiędzy nim, mną i słońcem. Wtedy - i tylko wtedy - błyskał. Błyski te były bardziej jaskrawe niż tęcza: czystszy błękit, delikatniejszy fiolet mocniejsza żółć i wszystkie odcienie pośrednie. Całość miała połysk brylantu - oślepiający, roziskrzony, płomienny.

Nagle, pośród gry, poczułem jakby chłodny dreszcz, przypominający bliskość głębokich kopalń, ponurych krypt, wilgotnych dołów. Ten sam dreszcz czułem dzisiejszego ranka. Za chwilę dostrzegłem piłkę odbitą nieoczekiwanie spośród pustej przestrzeni. W tej samej chwili o kilkanaście stóp dalej Paul Tichlorne rzucił swój tęczyowy błysk. A więc nie on odbił mi piłkę! Z przerażeniem pojąłem, że to Lloyd Inwood pojawił się na placu. Chcąc się upewnić, poszukałem cienia. Taki Oto jest, oto jest bezkształtna plama spłaszczonego tułowia (słońce stało wysoko!) poruszająca się po korcie. Przypomniała mi się dawna groźba i pojąłem, że w tej godzinie lata zawziętej rywalizacji dojrzały do straszliwej, niesamowitej bitwy.

Ostrzegłem Paula okrzykiem. W odpowiedzi usłyszałem dwa różne, lecz równie dzikie głosy, podobne do ryku rozjuszonego zwierzęcia. Ujrzałem ciemną plamę cienia sunącą szybciej po placu, zaś na jej spotkanie mknął roziskrzony pęk kolorowych błysków. Potem błysk i cień spotkały się, zwały, szczepiły. Rozległ się głuchy dźwięk niewidzialnych ciosów. Siatka runęła na ziemię tuż przed moimi przerażonymi oczyma. Skoczyłem ku walczącym, krzycząc:

—Na miłość boską!

Ich szepione ciała podbiły mi nogi. Upadłem.

—Nie mieszaj się, stary! Trzymaj się z daleka! — posłyszałem głos Inwooda z pustki. A potem huknął Paul.

Po dźwięku głosów poznałem, że są rozdzieleni. Nie mogłem dostrzec błysku Paula, a tam oto zbliżał się cień Lloyda. Nagłą z przeciwnej strony niewidzialna ręka zadała mi mocny cios w szczękę i głos Paula zawołał:

- No! Będziesz się trzymał z daleka!?

Potem zwarli się znowu: burza ciosów, chrapliwy ryk, jęk, sapanie i szybkie błyski tęczyowych barw ponad bezkształtną plamą cienia. Wszystko świadczyło o śmiertelnej zawziętości walki.

Krzyknąłem o pomoc i Gaffer Bedshaw wpadł pędem na plac. Widziałem, że podchodząc obrzucił mnie zdumionym spojrzeniem. Lecz w tejże chwili wpadł na walczących i rozciągnął się jak długi na korcie. Z rozpaczliwym wrzaskiem: — O Boże! To znowu on! — zerwał się na nogi i szalonym pędem umknął z placu.

Nie mogłem uczynić nic. Nie miałem żadnej rady na to, co się działo. Stałem więc *na* ziemi bezsilny i oszołomiony i przyglądałem się walce. Południowe słońce oślepiającą jasnością

obejmowało plac tenisowy. Pusty plac. Nie widać było nic *prócz* plamy cienia i tęczyowych błysków. Piasek tryskał spod niewidzialnych stóp, sprężone nogi ryły ziemię, druczany parkan napinał się i dźwięczał pod naporem ciała. To wszystko. Po pewnym czasie ustało nawet to. Błyski znikły, cień stał się wydłużony i mglisty. Wtedy przypomniał mi się zacięty wyraz dwóch chłopięcych twarzy przywartych do wodorostów w chłodnej głębi jeziora.

Znaleziono mnie na placu o jakiejś późnej godzinie. Służba Tichlorne'a zasłyszała coś mgliście o tym, co się działo i cała natychmiast uciekła z domu. Gaffer Bedshaw nie wyleczył się nigdy po drugim wstrząsie nerwowym, jakiego doznał. Zamknięto go w domu obłąkanych.

Tajemnica cudownego wynalazku pogrzebana została z chwilą śmierci Paula i Lloyd'a, albowiem obie pracownie zniszczone zostały przez „pograżonych w smutku” krewnych. Co do mnie, nie interesuję się już badaniami chemicznymi i tematy naukowe są tabu dla moich domowników. Zająłem się na nowo hodowlą róż. Barwy naturalne wystarczają mi w zupełności.

Przygotowano na podstawie bookini.pl